Nr. 7. Lwów, dnia 1. Marca 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya *„Wieczorów zimowych“* w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.

„Wieczory zimowe“ wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy)

Przy stole rej wiódł stary hrabia. Był wesół, mówił za wszystkich, jadł dobrze, pił jeszcze lepiej, i tylko to go martwiło, że gość sięgał ciągle po wodę, wina zaś wypił ledwie pół kieliszka. Z początku usiłował mu wytłumaczyć, że wino jest napojem wielce zdrowym, szlachetnym i religijnym, w Piśmie św. bowiem często jest o niem wzmianka, a i msza św. bez niego nie może się obejść; wszakże gdy proboszcz szczerze mu na to odpowiedział, że wina nie używa przez wzgląd na swoje zdrowie, nie namawiał go więcej i odtąd pił za siebie i za niego.

Syn mało mówił, ponieważ dyskurs polski piętrzył przed nim trudności, których nie mógł pokonać. Widocznem jednak było, że mimo wrodzonej małomowności, pragnął dziś więcej mówić, a tylko powstrzymywał się z obawy, by się przypadkowo śmiesznym nie zrobił. Ojciec pierwszy to dostrzegł, więc też przy szampanie, zwracając się do księdza, zawołał:

— Wiesz proboszczu co, takeśmy się dobrze poznali i o ile sądzę, pokochali, że teraz nie powinniśmy już sobie robić najmniejszego przymusu.

Ksiądz wypatrzył się na hrabiego z wielką ciekawością, bo nie wiedział, do czego ten wstęp zmierzał.

— Przymusu? — machinalnie powtórzył.

— A tak! My z sobą swobodnie rozmawiamy i dobrze się bawimy, tymczasem mój syn siedzi jak na tureckiem kazaniu, lub jakby trzech nie umiał zliczyć, a przecie on z natury nie jest taki małomowny.

— Nie żenuj się i baw się dalej — Leonard mu przerwał — ja chętnie będę słuchał.

— Wiem że będziesz, bo musisz, musisz zaś, bo ci po polsku trudno się wyrażać. Sądzę jednak, że nasz zacny gość łaskawie to uwzględni i teraz, gdyśmy już dla zaspokojenia drażliwych uczuć patrjotycznych dosyć uczynili, zacznie z nami mówić językiem więcej europejskim...

Ksiądz oczy wytrzeszczył, jakby miał przed sobą szalonego i cicho zapytał:

— Alboż dla nas może być jaki język bardziej cywilizowany od naszego własnego?

— Ksiądz proboszcz miałby rację zupełną — wmięszał się Leonard — gdybyśmy tylko mogli stanowczo orzec, który właściwie język jest naszym własnym.

— To! to! to! — stary hrabia potwierdził, ręce zacierając.

— Tak? — ksiądz przeciągle zapytał.

— Nie inaczej — Leonard odparł. — Ja naprzykład, jestem po matce w jednej części helleńczykiem, w drugiej francuzem, dziadek bowiem był grekiem, babka zaś czystej krwi paryżanką, a po ojcu mam być ponoś polakiem.

— Ponoś? — ksiądz powtórzył, w sposób szczególny słowo to akcentując.

— Mój syn dobrze powiedział — stary hrabia potwierdził — dziś bowiem, kiedy para i telegraf wszystkich łączą, na całym świecie ludzie wyżsi

inklinują ku kosmopolityzmowi, i już coraz mniej takich się spotyka, którzy zasklepieni w egoizmie narodowościowym, nie chcą swego sąsiada uznać za brata. Zresztą, o ile wiem — mówił hrabia coraz szybciej — idea kosmopolityzmu jest nawet bardzo chrześcijańską, bo przecie sam Chrystus powiedział, że będzie jeden kościół i jedna owczarnia; a św. Paweł, jak mnie o tem niedawno pewien biskup upewniał, miał gdzieś także napisać: Nie ma żyda, ani Greka, bo wszyscy jesteśmy jednym w Jezusie Chrystusie.

Hrabia skończywszy, spojrzał wzrokiem tryumfującym najpierw na gościa, potem na syna. Ksiądz, który to bladł, to się rumienił, gdy go słuchał, podniósł się teraz zwolna i głosem zniżonym, głuchym, pod którym huczał gniew wysiłkiem woli tłumiony, w te słowa przemówił:

— Pan hrabia, jak widzę, w Piśmie św. jest bardzo biegłym i tylko niezmiernie żałuję, że biskup, który go uczył tych cytatów, nie powiedział mu równocześnie, iż jedność, jaką kościół Chrystusowy przepowiada, odnosi się li do wiary i prawdy, bo jak na ziemi i niebie jedna tylko jest prawda, tak również jedna religja być powinna! Lecz jak z drugiej strony nie sposób nawet przypuścić, by ludzkość cała pod względem zewnętrznym jednakowo wyglądała, to jest aby wszyscy mieli tę samą cerę, krew i rysy, nie sposób sobie także wyobrazić ludzkości zlanej w jednę bryłę intellektualną.

— A ja bym sądził — hrabia przerwał — że właśnie przez wzgląd na ludzkość i dla jej dobra powinniśmy dążyć do takich form ogólnych.

— Ach! panie hrabio, Bóg jest ponoś mędrszym od nas obu! — ksiądz porywczo zawołał — więc skoro on sam, w najdoskonalszej jedności, która się światem nazywa, stworzył równocześnie największą rozmaitość, to chyba przeciw jego prawom my się buntować nie będziemy! Życie narodowe istnieć musi, bo są przecie różne temperatury, różne właściwości ziemi, nareszcie różne warunki psychologiczne, zawisłe od rasy, z jakiej człowiek się rodzi. Kto więc panie hrabio utrzymuje że jest, kosmopolitą, ten albo ściga ułudę, co się nigdy nie urzeczywistni, bądź też samolubnie sobie powiada: Tam będę mieszkał, gdzie mi będzie dobrze, a ponieważ nie chcę przyznać się do żadnych długów wdzięczności i nie mam zamiaru brać na siebie nawet najlżejszych obowiązków, przeto będę głosił, żem członkiem wszechświata a nie pojedyńczego narodu.

— Więc ksiądz proboszcz chyba nie przypuszcza — wtrącił Leonard — że ktoś przez sympatje dla ludzkości, a nie koniecznie z zimnego egoizmu, staje się kosmopolitą.

— Przepraszam, tegom nie powiedział... Są ludzie wyżsi, mędrcy, prorocy, święci pańscy, którzy rozumieją i czują tak wielką miłość! Lecz tych, ilu dotąd było, a ilu ich jest obecnie? I wierzcie mi panowie, aby do takiej czystej a szczytnej dojść miłości, trzeba wpierw umieć ukochać gorąco swoich najbliższych, najpierw rodzinę, potem przyjaciół, w końcu swój naród, gdyż to są szczeble, po których wstępuje się w krainę światła i nieśmiertelności. Panowie! — mówił dalej, biorąc ojca i syna za ręce i do okna ich prowadząc — popatrzcie tylko, jak piękna jest ta ziemia, co się dokoła roztacza, jak litościwe jest to niebo, nad naszemi głowami! Czyż ono wszędzie jednakowe, czyż do naszej ziemi i do naszego nieba nie powinniśmy być więcej przywiązani niż do obcych krain? Irlandczyk umiera na suchoty, gdy do Danji przyjedzie, ja, panowie, chociaż mam suchoty, żyję jeszcze, bom na własnej ziemi, lecz wyrzućcie mnie ztąd, a zobaczycie, czy do trzech dni nie umrę! Tę ziemię przez długie wieki uprawiali nasi ojcowie, o nią staczali oni boje sztraszliwe, a mybyśmy teraz mieli twierdzić, że dziedzictwo ich krwią okupione nie jest dla nas lepsze i cenniejsze, niż każdy inny ziemi kawałek? A to, że tu wszyscy mówią jednym językiem, że mają wspólne z sobą zwyczaje i obyczaje, że jednej są wiary, słowem, że są rodzonymi braćmi naszymi, czy to także nic nie znaczy? A wszakże braci rodzonych powinniśmy kochać najbardziej, oni bowiem są nam krwią najbliżsi, a dopiero po nich idą stryjeczni, wujeczni i dalsi jeszcze. Zresztą, jam z tymi rodzonymi wzrósł, cierpiał, oni tak samo jak ja Boga chwalą, a tamci inaczej! O! wierzcie mi panowie, można być szlachetnym członkiem ludzkości, a mimo to można także swój naród kochać gorąco. I dla tego też, że go kocham, chcę by wszyscy jego synowie wspólnym mówili językiem, by ich piersi w takt uderzały, by jednakowo Boga wyznawali i stanąwszy ramię do ramienia, żeby inwazji niemieckiej skałę swych piersi przeciwstawili, bo gdyby się obcy u nich rozwielmożnił, dla ich własnych dzieci mogłoby z czasem braknąć chleba! Panowie, widzę, patrzycie na mnie jak na szalonego... Nie bójcie się, ja wiem co mówię, a chociaż mój naród bardziej ukochałem, niż ludzkość, to jednak nie trwożę się w duchu, gdyż wiem, że mi Bóg przebaczy, bo...

Urwał.

— Bo? — hrabia ciekawie zapytał.

— *Homo sum*! — ksiądz dokończył z godnością.

W tejże chwili, z piersi wysilonej przemówieniem długiem a gorącem, prawie namiętnem, wyrwał się kaszel suchy, gwałtowny, który trząsł nim całym, jak sroga burza kruchą łodzią.

— Wody! — szepnął, ku służącemu rękę wyciągając.

Napił się i spokojniejszy zsunął się na krzesło najbliższe.

Każdy z hrabiów inaczej mu się przypatrywał. W oczach syna, który stał tuż przy nim, było współczucie; ojciec przeciwnie wyglądał przestraszony

i cofnąwszy się o kilka kroków w głąb sali, ztamtąd śledził jego ruchy. Dopiero gdy ksiądz siły odzyskał, zbliżył się doń i z uśmiechem przemówił:

— Bardzo to pięknie, że proboszcz jest tak do swej ziemi przywiązany, ale mimo to nie wątpię, że gdyby ksiądz zamiast w Trzcińcu siedzieć, gdzie powietrze jest zimne i wilgotne, zamieszkał raczej we Włoszech, kaszel, który mu tak dokucza, niewątpliwie by go opuścił.

— Jam już panie hrabio raz powiedział, że tu żyję jeszcze, a zaś gdzieindziej musiałbym zaraz umrzeć. A wiesz panie hrabio, co mnie przy życiu utrzymuje?

— Radbym usłyszeć.

— Miłość! Tak jest, miłość do mej ziemi, bo tylko ona jest mojem życiem! Człowiek powinien kochać cokolwiek, byle szczerze a niesamolubnie, kto zaś własnej ziemi nie kocha, temu nigdy nie uwierzę, by mógł kochać Boga! Bo czyż by śmiał wznieść się do miłości abstrakcyjnej, do umiłowania tego ojca, którego nie widzi, w którego tylko wierzyć może, jeżliby nie kochał tej matki, na którą ciągle patrzy i która codzień przyciska go do swojego łona?! O tak panowie, kochać trzeba, bo jedna tylko miłość jest tą siłą ożywczą, która wszystko przenika i bez której nie ma prawdziwego życia!

— He, he, he, wybornie, *prachtvoll*! *superbe*! — hrabia zawołał ręce zacierając. — Ja tego samego jestem zdania, co ksiądz proboszcz i dla tego od najmłodszych lat powtarzam, że kochać trzeba, gdyż życie bez miłości nic nie warte. He, he, he, wybornie, *prachtvoll! superbe!*

Ksiądz, ręce na stole trzymając, wyraziste swoje oczy wlepił w hrabiego, który gdy mówił, kołysał się to na jednej, to na drugiej nodze i takie miny stroił, że jeśli kiedy to właśnie teraz najłatwiej można było na wskroś go przejrzeć. Zdaje się, że ks. Błażejowi powiodło się to w zupełności, skoro ani jednem słowem więcej nie dotknął przedmiotu, o którym przedtem mówił z takim zapałem. Chwilę jeszcze posiedział, pożegnał się i do domu odjechał.

Gdy syn i ojciec sami zostali, pierwszy przemówił:

— Szczególny ksiądz... Przyznam się ojcu, żem podobnego dotąd nie spotkał.

— Ultras i fanatyk! — ojciec odparł. — Ciekawym dokądbyśmy zaszli, jeżliby wszyscy chcieli tak myśleć. W czasach dzisiejszych ksiądz powinien być wyrozumiały, pobłażliwy, on zaś bawi się w tak surowego moralistę, że na sam widok zimno się robi.

— Ale mimo to trzeba mieć dla niego szacunek — Leonard zauważył.

— Kto zechce, niech go ma, mnie on wcale nie imponuje.

Po tych słowach włożył monokl w oko i przy oknie stanąwszy, śledził obroty dzikich kaczek, które wielkiem stadem krążyły nad jeziorem szukając dobrego żerowiska.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

VI

— Oh! tego punktu nie ma w kontrakcie, ani w spisie moich przyszłych dostojeństw, nie jest wymienione krzesło prezydenta.. Gdybym kiedy nim miał zostać, to chyba po to, aby pani udzielić wszystkiego, czegobyś mogła zapragnąć...

— Popatrz mi pan w oczy — rzekła żartobliwie — chcę widzieć dokładnie, jak wygląda Lucyper w kucie pustelnika... Daremna praca, kochany Valport! polityka to nie twoja rzecz!

— Dla czego?

— Ponieważ, aby się do niej mięszać, trzeba bodaj w coś wierzyć, a przynajmniej udawać, że się wierzy.

— Bylem zaczął... przyjdzie i wiara!

— Ręczę z góry, że nie przyjdzie! Jesteś pan największym sceptykiem, jakiegom w życiu znała; nie wierzysz w nic, co się zowie.. Raz się wyspowiadałeś szczerze z tego przedemną w Trouville i całe twoje życie tego dowodzi, prócz uczynku miłosiernego, który dziś spełniłeś wobec nas. Koniec końców, jakkolwiek pańskie podróbki są doskonałe, nie radziłabym ci Jetto, jeść ich za wiele; mojem zdaniem czuć je nadto cebulą i tłuszczem.

Pan Valport spojrzał na nią gniewnie, odsunął się od niej z krzesłem i odpowiedział z pewnem rozdrażnieniem:

— Pani bo mię robisz czarniejszym niż jestem. Możnaby myśleć, słysząc panią, że nie posiadam żadnych przymiotów. Najprzód nie jestem takim sceptykiem za jakiego pani podoba się mię uważać, wierzę w moją wolę, oh! wierzę w nią silnie, ręczę słowem honoru! Potem mam i tę stronę dodatnią, iż umiałem zawsze uszanować przekonania i wiarę innych. Sceptycyzm wyrozumiały wiele znaczy! Nigdy również nie nadużyłem niczyjego zaufania; nie pamiętam, żeby komu wyszło to na złe, jeżeli mi zawierzył.

Wpadał w coraz większe uniesienie, fiksując wzrokiem pannę Maulabret, na którą dotąd prawie nie spojrzał; zdawać się mogło, iż ją chce wziąć za świadka. Margrabina w głos się roześmiała.

— Na prawdę! — wykrzyknęła — tak się pan zapalasz, jakbyś stał na mownicy. Dla jakiejże to niewidzialnej publiczności tak pan deklamujesz? Jesteśmy sami, swoi kochany Valport, szkoda trudu!

— Daruj pani — spłonął rumieńcem. — Nie można dość wcześnie ćwiczyć się w wymowie, kto chce kiedyś zostać deputowanym.

— Co najlepsze z tego wszystkiego — wtrąciła — to okoliczność, iż posiadając kilka akcji kolei Parysko - Lugduńskiej, z łaski pana wezmę większą dywidendę.

— Jakim sposobem?

— Dochód musi się znacznie powiększyć, przewożąc panu rozmaitości z Paryża dzień w dzień. Wystarczy tego na *grande* i na *petite vitesse*.

— Nowa omyłka, margrabino. Jest punkt opiewający, iż mam się zadowolić produktami miejscowemi, w Bois-le - Roi, nawet winem z własnej winnicy.

— Nie wspominając o reszcie.. Okolica musi widocznie obfitować w piękności?

— Nie podobna nam się zrozumieć — odpowiedział — pani ciągle stroisz żarciki, ja zaś od dnia dzisiejszego biorę wszystko na serjo.

Spojrzała na niego z drwiącym uśmiechem.

— Porzuciłeś ją zatem?

Odpowiedział bez wahania:

— Naturalnie. Rzecz skończona.

— Ona w rozpaczy, ma się rozumieć.

— Pani nadto łaskawa... ja zresztą nie wierzę w rozpacz kobiecą.

— Pogodzenie zatem wykluczone?

— Najzupełniej. To postanowione nieodwołalnie.

— Eh, mój piękny chłopcze, co kiedy u ciebie było nieodwołalnem?

Jetta nie mogła nie słuchać, rozumiała jednak tylko przez pół tę dziwną rozmowę. Czyż mogła się domyśleć, iż rozmawiano w tej chwili o młodziutkiej a już sławnej baletniczce, która nazywała się Rozella.

— Wiesz pan co? — odezwała się margrabina — muszę temi dniami zwidzieć pańską pustelnię. Chcę przekonać się naocznie, czy nie schudniesz prowadząc życie tak surowe i ascetyczne.

— Jestem naprawdę zrozpaczony, iż nie mogę uczynić zadość pani życzeniom. Przysiągłem wyrzec się wszystkiego, nawet przyjemności twoich odwiedzin, margrabino. Umówiliśmy się, iż żadna niewiasta progu mojego nie przestąpi, prócz staruszki, żony mojego ogrodnika. Moje brytany gotowe by panią rozszarpać, z czego byłbym niepocieszony!

Na to wszedł konduktor, zapowiadając, iż przekop ukończony i pociąg odchodzi. Pan Valport podał znowu ramię margrabinie aż do wagonu.

— Szczęśliwej podróży, kochany panie! — pożegnała go z uśmiechem. — Przykro mi bardzo, wiem jednak z góry, iż zakład przegrasz.

Pan Valport podał rękę Jecie z kolei, aby i jej pomódz wsiąść do wagonu. Suknia jej zaczepiła się o stopień, odwróciła się, aby ją uwolnić. Przy blasku czerwonawym pochodni smolnej, płonącej na peronie, zobaczyła zbliska ową twarz, tak podobną do strzelca nieustraszonego, który polował na lwy i tygrysy i dwoje oczu wlepionych w nią, niby dwa węgle żarzące. Nie puszczając rączki, którą ujął był w swoje dłonie i ściskał delikatnie, młody człowiek rzekł scicha, tak, aby tylko Jetta go słyszała: — Na tę drobną rączkę, która tyle ran opatrywała i zamknęła oczy człowiekowi genjalnemu, z sercem najwznioślejszem, ukochanemu przezemnie, na tę rączkę, której nie wart jestem się dotknąć, przysięgam wygrać zakład.

Zmięszana niesłychanie wskoczyła do wagonu, od którego drzwiczki zamknąwszy p. Valport odszedł do swojego coupé.

— Czy wiesz, moja droga — zagadała margrabina — że na pierwszy występ w św iat, masz szczęście kolosalne? To się nazywa wpadać z awantury w awanturę. Natrafiłaś od razu na pociąg, który ugrzązł w śniegu i na jednego z najmilszych, najpiękniejszych potworów, którzy kiedy deptali asfalt na bulwarach. Czy ci się podobał?

— Nie wiem... naprawdę! — bąknęła panna Maulabret, starając się zapanować nad pierwszem wrażeniem.

— No! że piękny, dziecię, to nie podpada wątpliwości, ale największy nicpoń i warjat, jakiego ziemia nosiła. Nie mogę ci opowiedzieć wszystkich jego szaleństw i dziwactw. Ojciec jego był niezmiernie bogatym cukrownikiem; mając lat dwadzieścia pięć, odziedziczył po nim dwa, czy trzy miljony. W trzech latach przejadł i przehulał jeden miljon. Przed półtora rokiem zaczął się był po trochę ustatkowywać; kochał się li w jednej kobiecie. Ową szczęśliwą wybraną, która zdołała usidlić i podbić serce tak niestałe, jest pewna baletniczka, bardzo ładna. Darował jej pałacyk, istne cacko; pokażę ci go temi dniami gdy wrócimy do Paryża, aby suknie twoje przymierzyć. Czas jakiś utrzymywano, iż jest to stadło wzorowe, że z jednej jak z drugiej strony, zachowują wierność niesłychaną; zapewniano nawet, iż gdyby jejmościanka była mu się opierała jeszcze ze dwa tygodnie, ten szaleniec byłby gotów ją poślubić. Jak widzisz jednak, półtora roku wystarczyło, aby wyczerpać jego stałość; porzucono się nawzajem, on ucieka aż na wieś, zdala od Hermiony i jej pazurków; ale nie wytrzyma tam trzech mięsięcy, chybaby pragnął zginąć z nudów. Wkrótce powróci do Paryża, wyleczony na wieki z jednożeństwa. Zacznie na nowo motylkować, przelatując z kwiatka na kwiatek i puści z wiatrem drugi miljonik!

Tak prawiła pani de Moisieux nie domyślając się, iż Jettą miotało na przemian: zdziwienie, żal i gniew. Dziwiło ją niesłychanie, zkąd pan Valport może znać ją i jej dzieje; martwiła się, iż młody człowiek, tak piękny, który, jej się podobał na pierwszy rzut oka, jest potworem i szaleńcem; gniewało ją nakoniec iż pozwolił sobie przysięgać, biorąc niejako za świadka rękę przyszłej zakonnicy, szpital obsługującej, i to w sprawie tak płochej, drobiazgowej, tak głupio światowej, jaką był ten jego zakład... Koniec końców, gniew przeważał nad zmartwieniem, a podziw brał górę nad gniewem.

Kiedyś przecie przybyć musiały na miejsce. Dzięki atoli zaspom śnieżnym i ciągłym przeszkodom po drodze, zegar na wieży w Combard wydzwaniał dziewiątą godzinę, gdy margrabina rzekła do Jetty, odetchnąwszy całą piersią:

— Dzięki niebu, przybyłyśmy nakoniec.

Kareta pana Cantarel po raz trzeci przed peron zajeżdżała.

Stangret wolał jeździć tam i nazad, niż narażać konie na zimno tak przejmujące. Z pół godziny trwało pakowanie pudeł i pudełek. Wjechano nareszcie przez bramę wspaniałą i panna Maulabret ujrzała jak we mgle terasę z wystawą pałacową, która zdawała się nie mieć końca, poczem kareta okrążyła obszerny dziedziniec, zatrzymując się przed gankiem. Dwóch wysokich lokajów, w liberji bronzowej, w kamaszach i w trzewikach, stało w przedpokoju. Margrabina obeznana z miejscowością, obeszła się bez ich usług i sama sobie otworzyła drzwi na środku, prowadzące do salonu, z wielkim przepychem umeblowanego. Przed kominkiem, prześliczne w marmurze rzeźbionym, gdzie tliła się ogromna kłoda dębowa, człowiek

otyły, podsadkowaty i mocno czerwony na twarzy, drzemał w wysokim fotelu; naprzeciw niego, w drugim takimże fotelu, spała już na dobre kobieta wzrostu słusznego, której włosy szpakowate, chowały się prawie pod chusteczkę z czarnej koronki. Mężczyzna pochrapywał, kobieta we śnie nawet postękiwała. Przez pół się rozbudzili oboje, gdy margrabina wrzasnęła im nad uchem:

— Macie ją, jest milusieńka i miałabym wielką ochotę zabrać ją dla siebie!

Pan Cantarel zerwał się na równe nogi, przetarł oczy i wykrzyknął:

— Ah! jesteś nakoniec margrabino? Spodziewaliśmy się niemal nieszczęścia... Byłem w śmiertelnym niepokoju!..

— O! widać to po panu! — parsknęła śmiechem i uciekła do siebie.

Przez chwilę p. Cantarel egzaminował Jettę ogólnie i szczegółowo, słowa nie mówiąc. Potem obrzucił ją pytaniami, czy nie głodna, czy jej nie zimno, czy nóg w śniegu nie przemoczyła? Odpowiedziała, iż jej łaskawa opiekunka, nie miała dość starań dla jej osoby, że obecnie niczego nie potrzebuje.

Lokaj wszedł obładowany pudłami i pakietami, pytając, gdzie je ma poskładać?

— Boże! ileż pakunków! — wykrzyknął p. Cantarel tonem drwiącym.

— Z których ja — uśmiechnęła się Jetta — jestem prawdopodobnie najbardziej kłopotliwym.

Nareszcie i pani Cantarel udało się rozbudzić zupełnie. Podniosła z mozołą zaspane powieki i wycedziła:

— Zapewne śnieg tak was zatrzymał?

Uwaga była sprawiedliwą, głos jednak był mroźny, jak noc grudniowa.

- Myślę — zwrócił się p. Cantarel do swojej pupilki, — iż chwilowo najbardziej łóżka potrzebujesz. Mniejsza oto.

Zadzwonił, a gdy weszła pokojowa, polecił jej zaprowadzić pannę Maulabret do jej apartamentu. Jetta skłoniła się ciotce na dobranoc, nie mogła jednak dostrzedz, czy ta to widzi, czy nie, czy skinęła jej, czy nie nawzajem? Dygnęła nisko opiekunowi, który dygnął tak samo, pokrzywiając się po niej i rzekł z przekąsem:

— Prawdziwe cudactwa klasztorne!

Dodał zaś po chwili:

— Trzeba się pozbyć, moja droga, tych naleciałości, otrząsnąć się z nich koniecznie... Postaramy się o to, postaramy!

Gdy Jetta wychodziła z salonu, przeciąg zgasił świecę na korytarzu i pokojowa wróciła, aby ją nazad zapalić u kandelabrów płonących w salonie. Przez drzwi niedomknięte, panna Maulabret usłyszała następującą rozmowę:

— Nie wydaje mi się wcale zabawną — bąknął pan Cantarel.

— Sądzę, iż nie sprowadzałeś jej do domu, aby cię bawiła — mruknęła półgłosem pani Cantarel.

— Żeby nam przynajmniej nie przyniosła zarazy ze szpitalu, tyfusu lub ospy! — westchnął.

— Ocknąłeś się trochę za późno — odrzuciła pani Cantarel.

Pokojowa zjawiła się z powrotem i po rozmaitych zakrętaninach długiego korytarza, zaprowadziła Jettę do pokoju, urządzonego z komfortem i najwyższą kokieterją. Elegancka pokojowa, wystrojona jak z pudełka, ofiarowała jej swoje usługi, których Jetta nie przyjęła. Na kominku płonął ogień wesoły. Jetta, nim się rozebrała, usiadła na chwilę przed kominkiem, aby myśli chaotyczne cokolwiek uporządkować.. Wszystkie dnia tego wypadki wirowały jej po głowie. Niczego pojąć nie mogła... tego spotkania z pięknym młodzieńcem, który wpadł jej w oczko od razu, mimo iż miał być potworem?... Czemu ten potwór zdawał się ją znać i czemu o tem wspominał ściskając ją za rękę? Potem przypomniała sobie przyjęcie lodowate, przez opiekuna i jego żonę, i gotową była pogodzić się z pięknym młodzieńcem, który wymówił te słowa, jedząc z nią razem podróbki: — „Sceptycyzm tolerujący, to coś znaczy.“ Osądziła, iż był to frazes piękny i poczciwy. Dla czegoż nieszczęście chciało, iż myśląc tak szlachetne, ów młodzieniec miewał aż po trzy naraz metresy i robił zakłady tak szalone?

Zaczęła włosy na noc rozczesywać.

— Jestem nudną i mogę wnieść z sobą tyfus do domu — potrząsła smętnie główką. Uklękła przed łóżkiem i zaczęła się modlić gorąco. Gdy skończyła, twarz jej się wyjaśniła, rozweseliła i szepnęła uśmiechnięta (uśmiechały się nieraz do siebie nawzajem, skoro ich sam na sam zostawiono), szepnęła tedy:

— O mój Boże! przez te dwa lata, chciej mi dopomódz, abym stała się zabawniejszą i otrząsnęła się z cudactw klasztornych, potem zaś, jak to już ułożone między nami, oddam ci się na zawsze, o! Panie!

VIII.

Gdyby na tym świecie mogło istnieć szczęście zupełne, p. Ludwik Cantarel byłby człowiekiem najszczęśliwszym. Ojciec jego był małym urzędniczkiem kolejowym, człowiekiem rozumnym i pełnym dobrych pomysłów, pielęgnował kanarki i ćwiczył się namiętnie w rachunkach. Posiadał talent wynalazków, które mu jednak nigdy nic nie przyniosły. W ich latach dziecięcych, biegły rachmistrz tak mówił niekiedy do swoich dwóch synów: — Ty, mój gruby Ludwiku, jesteś głupcem po prostu, o ciebie więc ani myślę się kłopotać Antoni tylko mnie niepokoi, ten posiada rozum nie lada i wiecznie czegoś szuka, może nie znajdzie nic, prócz szpitalu.

Ojca przepowiednia spełniła się w połowie. Antoni wprawdzie znalazł drogę do szpitalu, ale szpital zapewnił mu sławę i majątek. Co do jego brata młodszego, ten nie zasypiał gruszek w popiele, nie spuszczał się całkowicie na wrodzoną swoją głupotę; do niesłychanej wiary w samego siebie, łączył wiele innych przymiotów na serjo, spryt do każdego interesu, umiejętność przewąchania, skąd i jaką można by korzyść wyciągnąć i szybkość rzutu w rozmaitych spekulacjach. Kończył właśnie kurs nauk przygotowawczych, w wielkim handlu towarów kolonialnych, gdy traf sprowadził go z pewnym biedakiem, który utrzymywał, iż posiada tajemnicę wyrabiania ciast przeróżnych i makaronu, przewyższających doskonałością tego rodzaju wyrobu w Genui i w Neapolu. Nikt nie wierzył w jego geniusz makaronowy; wyglądał nader skromnie i nie umiał dostatecznie mleć językiem. Ludwik Cantarel, miał na tyle rozumu, iż mu zaufał; zakręcił się i potrafił zdobyć fundusz, na założenie fabryki. Zawiązano spółkę, zaczęto wyrabiać makaron, a w lat kilka wynalazca niepokaźny umarł na zapalenie płuc, zostawiając Ludwika w posiadaniu fabryki i tajemnicy wyrobu. Fabryka szła najpomyślnej, trzeba jednak było rozwinąć ją, postarać się o lepsze maszyny. Wtedy już Antoni, zaczynał na wierzch

wypływać. Zyskał wdzięczność dozgonną jednego z królów giełdy, wykonując operację niesłychanie trudną, w której po raz pierwszy dał poznać fenomenalną lekkość swojej ręki i pewność oka Wkrótce wyrywano go sobie w świecie giełdowych miljonerów. Ludwik umiał wyeksploatować niezrównanie sławę i stosunki brata starszego, te mu też posłużyły do wyrobienia sobie kredytu w bankach, którego gwałtem potrzebował. Antoni tego mu nie odmawiał, poczytując za obowiązek, opiekować się nim, chociaż brat młodszy nie wzbudzał w nim wcale sympatji Ów brat młodszy, któremu pomagał, pogardzając nim jednocześnie, mógł wkrótce obejść się bez jego protekcji. Makarony zyskały wziętość niesłychaną, majątek Ludwika Cantarel rósł z dniem każdym; niebawem stał się bogatszym od brata starszego Trzeba jednak przyznać, iż trudów nie szczędził, pracował w pocie czoła, wszystkiego sam doglądał, potrafił nie spać i nie jeść, gdy robota nagliła. Znużył się wreszcie i stał się ambitnym Dwaj synowie, których miał z pierwszej żony, wyrośli tymczasem, wykształcił ich zaś na swoje podobieństwo. Napoleon ciastek i makaronów, uformował swoich Lannes'ów i Augereau'ów, mógł im więc powierzyć swoją szpadę zwycięską. Oddał im też kierownictwo nad fabryką. Doszedłszy zaledwie do lat pięćdziesięciu, myślał już tylko o używaniu życia i o zadowoleniu chęci gorących, zostania czemś, w składzie państwowym. Dotąd nie miał żadnej wiary politycznej; wolno mu było zatem wybierać i nie długo się wahał w wyborze. Zostawszy miljonerem, stał się jednocześnie skrajnym radykałem. To się często zdarza.

Zresztą jego wyznania polityczne, zamykały się w pewnej ilości formułek, które powtarzał do przesytu, zostawiając innym trud i zachód wytłumaczenia, coby one znaczyć miały. Wkładał w okna swojego magazynu, pakieciki powiązane, nigdy ich nie rozwijając. Utrzymywał, iż jest zwolennikiem „radykalizmu naukowego". Wymawiał te dwa wyrazy tonem człowieka, który wie, czego pragnie, który siebie rozumie. Historję Francji przerobił był na swoje kopyto. Nie przypuszczał, aby królowie przez zmysł polityczny lub związki małżeńskie, Richelieu zaś całym swoim geniuszem, a Mazarin całą swoją zręcznością i chytrością, mieli się przyczynić w czemkolwiek do rozszerzania granic państwa; wielcy monarchowie i genialni mężowie stanu, byli w jego oczach pijawkami publicznemi, smokami lud pożerającemi. Oburzał się jeżeli ktokolwiek ośmielił się twierdzić, iż Franciszek I. protegował sztuki piękne, a Ludwik XIV. umiał panować. Raczył przyznawać, iż Napoleon I. nie był „bez pewnego talentu," nigdy go jednak inaczej nie nazwał. tylko „ten potwór!" Natomiast uwielbiał Szczepana Marcel'a; możnaby było nawet przysiądz, iż znał go osobiście i z nim razem upokarzał delfina. Zapewniał, iż cokolwiek na świecie zrobiło się dobrego, pożytecznego i sprawiedliwego, było dziełem ludu to też „ludem" zajmywał się nadzwyczajnie. Radby mu był zapewnić „dobrobyt racjonalny" i wołał głośno, że zadaniem polityki wewnętrznej powinno być „zrównanie państwa obywateli, przez wprowadzenie w życie wszelkich praw przyrodzonych". Założył dziennik, którego używał w tym celu, aby codziennie oświadczyć swoim wyborcom, że skoro by go wybrali i zamianowali radcą municypalnym, poświęcił by dni i noce aby ich zrównać. Nie potrzeba dodawać, iż po „czarnych zastępach," czego najbardziej nienawidził, to oportunizmu; był o sto mil od przypuszczenia, iż nienawiść oportunizmu, podobna jest niesłychanie do nienawiści sensu zdrowego.

Zdarzają się miljonerzy radykalni, którzy ze swoich bogactw robią użytek wspaniały i najszlachetniejszy. Pan Cantarel w to się nigdy nie wdawał; on był tylko hojnym i wspaniałomyślnym, dla pana Ludwika Cantarel. Najpiękniejszym podarunkiem, który sobie zrobił kiedykolwiek, było nabycie zamku Combard. Zamek był niegdyś urządzony, umeblowany, i w nim mieszkała przez kilka miesięcy margrabina Pompadour. Kazał odnowić ogrody, według planu pierwotnego, a rastaurację zamku oddał w ręce biegłego budowniczego i był na tyle rozumny, że nie sprzeciwiał mu się w niczem. W tem jednak poszedł za własnym instynktem, obstalowując biust olbrzymi Dantona, z czapką frygijską na głowie. Umieścił go na postumencie po środku trawnika. Powiesił również w salonie, jako *pendant* do trzech pasterek Lancret'a, obraz przez niego dokładnie we wszystkich szczegółach opisany i zatytułowany: „Despotyzm i zabobon, wypędzeni przez pochodnię Myśli wolnej." Na końcu terasy, wznosiła się śliczniutka świątynia Amora; wchodziło się do niej po stopniach z marmuru różowego, kopuła zaś spoczywała na dwunastu kolumnach rżniętych w prążki. Pod tą kopułą, gdzie pod stropem igrało pięciu czy sześciu pyzatych Amorków, wśród chmur, p. Cantarel umieścił posąg kolosalny, wyobrażający: „Nauczanie świeckie i przymusowe." Był to starzec o długiej brodzie, o łbie rozczochranym, który rozkładał potężny elementarz, przed oczami wytrzeszczonemi dwóch malców, wytrzeszczonemi ze strachu czy z radości? to pozostało zagadką do rozwiązania. W ten sposób p Cantarel łączył swoje gusta z wyznaniem wiary politycznej.

Mimo iż nie był ani wspaniałomyślnym, ani dobroczynnym, mimo iż radził się li swojej próżności i swojego interesu, p. Cantarel nie był złym człowiekiem. Chętnie przyczyniał się do czyjegoś szczęścia, byle go to nic nie kosztowało; nikomu nie bronił grzać się w słońcu pomyślności, które jemu świeciło; na to widowisko wejście było wolne Miewał złe humory, bano się jego wybuchów, nie było jednak wypadku, żeby podniósł na kogo rękę krótką a tłustą; jego gniew sprawiał więcej hałasu niż bolu był to grad spadający na miękki piasek.

Pierwszem staraniem pana Cantarel, gdy usiadł do objadu, było wszcząć dysputę o cokolwiek, to mu pomagało do strawności; perorował, unosił się na zimno i sprzeczał zawzięcie Nienawidził też jeść objadu z żoną sam na sam Spróbował kilka razy z nią dysputy, ale mu to na złe wyszło. Gdy czasami rozruszała się i zbudziła ze swojej zwykłej apatji, rypostowała ostro, a po jej każdem cięciu pozostawał ślad głęboki. Zrazu był na tyle nieostrożnym i wstąpił w to osie gniazdo, sądząc iż w niem zastanie pustki. Tymczasem osy go boleśnie pokąsały. Bardzo rychło pocieszył się, a nawet błogosławił bieg wypadków, które sprowadziły mu pupilkę do domu. Zaraz nazajutrz znalazł, iż Jetta jest mu niezbędną, jako środek hygieniczny. Przy deserze, między owocami a serem, drażnił ją, naciągał, drwił z niej niemiłosiernie, tak samo jak pierwszego wieczoru pokrzywiał się jej, naśladując niby to jej chód i sposób mówienia, przyczem stroił miny i grymasy najpocieszniejsze. Mimo całej skromności, Jetta w tem odbiciu poznać siebie nie mogła. Częstokroć nagle ją pytał:

— Wytłumacz nam przecie, ty sprytna łowczyni testamentów, jakim to sposobem tak ci się to gracko udało?

Wtedy czerwieniła się aż po białka ócz; zdawało jej

się, iż może na prawdę przywłaszczyła sobie spadek niesłusznie. Daremnie jednak mordowała własne sumienie, czy w czem nie nadużyła dziadka dobroci? Sumienie do żadnej zbrodni przyznać się nie chciało P. Cantareł zresztą zaraz ją uspokajał Sam nadto bogaty, aby miał jej żałować tej odrobiny, żartuje ot! aby żartować; brat go przecież o wszystkiem dawno uwiadomił. Jetta podziwiała jego filozofję i bezinteresowność, a czem ta bezinteresowność była właściwie, miała się dowiedzieć później dopiero. Do rozpaczy ją przyprowadzał z drugiej strony, opowiadając szeroko i długo, jak jego synowie jej wspomnienia znieść nie mogą. zdzierczynią ją po prostu nazywając. W rzeczy samej, żaden się z nich w Combard nie pojawiał, od kiedy ona tam mieszkała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ
osnuta na tle stosunków irlandzkich.
przez
KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Wyjaśnienia.

Aby dostać się z wąwozu Gourgane-Barra, na drugą stronę góry, w kierunku północno-wschodnim, jest jedna tylko droga *Keimaneigt*, czyli Skok jeleni.

Zrazu ścieżka wijąca się pomiędzy skałami jest tak wąska i stroma, iż jeden człowiek zaledwie może się nią przecisnąć. *Wild-Irish* szedł naprzód, Tankred za nim postępywał, podziwiając postać wyniosłą, krok śmiały i pewny swojego towarzysza.

Ścieżka się rozszerzyła i pochyłość była nie tak stroma i przykra. Nasi podróżni mogli się teraz pomieścić jeden obok drugiego.

— Dotrzymałem słowa — odezwał się Irlandczyk z odcieniem goryczy. — Patrzyłeś hrabio na mój czyn krwawy... i wiesz jak się nazywam...

— Nazwisko przybrane, wojenne!— odparł Tankred żywo—które, jeżeli dobrze pojąłem znaczenie podań ludowych, nosili z kolei ludzie wielkiego serca i odwagi nieustraszonej!

— Nie licząc —*Wild Irish* dorzucił — nie licząc łotrów najpospolitszych, którzy zasłaniali się w potrzebie grozą tego nazwiska, aby teroryzować po drogach samotnych przechodniów, do tego stopnia, iż podług stanowiska z jakiego kto się na to zapatruje, *Wild-Irish* uchodzi za bohatera, lub za prostego bandytę.

Hrabia chciał przeciw temu zaprotestować.

— Niech i tak będzie! bandyta! —mówił dalej Irlandczyk, wpadając w zapał coraz większy na wspomnienie przeszłości. — A kim że były owe dzikie hordy najezdników? Owi Normandowie, którzy z nas zrobili niewolników! Odtąd, nasze miejsce w historji, to jedna krwi struga! Od dziesięciu wieków Anglia kradnie i morduje Irlandję. Och! można przyznać, iż ma dziwnie niespożytą, niezwalczoną siłę żywotną! Wszystkiego użyto, aby przyspieszyć jej zagładę, niszczono ją mieczem, ogniem i śmiercią głodową! Za panowania królowej Elżbiety, widziano krocie pospólstwa irlandzkiego. żywiącego się korzonkami i mchem leśnym! Za republiki pod Cromwell'em, rzeź i spustoszenie! Poświęcamy życie i mienie sprawie Stuartów, odpłacają nam wyrafinowanem okrucieństwem! Z domem Oranji coraz się wzmaga prześladowanie; do walki ras, przybywa walka religijna! Jak świat światem żaden naród nie doznał takiego jak my, ucisku! Wszystko nam zaprzeczyli, wszystko nam wydarli! A jakie dzieją się u nas bezprawia. Wydarli nam naszą ojcowiznę, nawet Boga naszego! Nie wolno nam dzieci wychowywać, jak chcemy, gdy drudzy radują się skarbem najwyższym, pysznią ojca tytułem, my tę chwilę przeklinamy, w której rodzi się nowy parja, nowy niewolnik! Bez sumienia, bez litości są wrogi nasi; nie mamyż i my prawa, tak samo z nimi postępywać?! Nie mamyż świętej powinności, przypominać każdemu dorastającemu pokoleniu, iż włożono mu na kark jarzmo haniebne, które zrzucić musi?! Najodważniejszy przybiera w chwili decydującej nazwisko *Wild Irish* i niesie je przed sobą nakształt sztandaru! Tak jest, pan pojąłeś doskonale ducha legendy podawanej z ust do ust, z pokolenia w pokolenie. Lud chce żeby to był zawsze ten sam człowiek, jego nieśmiertelny wykonawca sprawiedliwości, wielki mściciel, kapitan *Dwunasta godzina!* Sam gotów umrzeć każdej chwili, skazuje na śmierć bez wahania z pomiędzy nas, którzy zdradzają; bo trzeba uderzyć się w piersi, niestety, iż wiele klęsk i nieszczęść musimy przypisać w pierwszym rzędzie, naszej własnej słabości i waśniom domowym. Raz tylko byli w zgodzie katolicy z protestantami. W zeszłym roku, „Irlandczycy połączeni." I mieliśmy broń w dodatku. Sto tysięcy żołnierza! Ach! gdyby Hoche mógł był wtedy w Bantry wylądować, Irlandja byłaby się nareszcie wolną ujrzała.

Nic bardziej wzruszającego, nic wznioślejszego, nad wyraz tej twarzy i giesta, które łączyły się ze słowami mówiącego Cierpienia jego ojczyzny, odbijały się wiernem echem w głosie bolem drgającym. Gdy doszedł w opowiadaniu do zawodu ostatniego, który spotkał nieszczęsną Irlandję, z óćz strzelił mu piorun wściekłości bezsilnej.

— Nie rozpaczajcie! — pocieszał go hrabia. — Myśl wielka Hoche'a nie legła w grobie z nim razem! — I czując się wolnym od danego przyrzeczenia, iż nie zdradzi tajemnej misji, opowiedział mu szczegółowo agonję bohatera francuzkiej republiki i polecenia przedśmiertne, jakich tenże udzielał jenerałowi Humbertowi. Nadmienił również z czem jego samego wyprawił do Irlandji.

Dobre nowiny rozpogodziły cokolwiek chmurne czoło przewódcy:

— Dzięki za okazane mi zaufanie! — odrzucił z uniesieniem. — Zaczekamy!.. Hoche jednak był genialnym. Był on niejako zbawcą, wskazanym przez Opatrzność Lecz czy sprosta zadaniu ten drugi?!

Dostali się na sam szczyt góry, porośniętej gęstym borem. Wódz udał krzyk dzięcioła, poczem natychmiast ukazał się drwal z głębi lasu

— Droga wolna — zawołał. — *Erin go bragh*.

Hasło: Wszystko dla Irlandji! wódz także powtórzył, a widząc niepokój w oczach drwala, dodał:—Cierpliwości! Godzina nadchodzi!..

Puściwszy się dalej w drogę wraz z Tankredem, zauważył mimochodem:

— Widzisz z tego panie hrabio, żeśmy dość dobrze zorganizowani! Niech jednak długo nie zwleka jenerał Humbert, bo nie zdołamy powstrzymać naszych ludzi od wybuchu przedwczesnego!..

W niespełna godzinę, ścieżka znowu się zwęziła i teraz coraz szybciej w dół lecieli. Gdzie niegdzie, przez drzew konary, przebijała bujna zieloność łąk i pastwisk.

— Zchodzimy z góry, w obręb hrabstwa *Tipperary* — objaśnił przewodnik.

Jakaś figura z pudłem drobiazgów rozmaitych, spotkała się z nimi na lasu granicy i szepnęła tajemniczo:

— *Erin go bragh*! Droga wolna!

Nasi podróżni zeszli wreszcie z góry, w niewielką dolinę zasianą krzakami i skał odłamami. *Wild-Irish* skręcił bokiem po pod las ku jednej ze znaczniejszych grup skalistych, sterczącej z pomiędzy drzew.

Pod jedną ze skał, która naprzód wysunięta, tworzyła rodzaj zagłębienia, niby pokoik z dachem kamiennym, dwóch ludzi ubranych w sukno ciemno-zielone, jak straż leśna, a raczej jak owi nieśmiertelni *Geomen* w romansach Walter Scott'a, obracali pilnie nad ogniskiem sarnią pieczeń, wsadzoną w braku rożna na stempel od strzelby. Nieopodal para wierzchowców rasowych, z nogami przedniemi lekko spętanemi, gryzła tymczasem bujną trawkę i oskubywała młode listki na krzakach.

— Do stu katów! — cmoknął Tankred ustami — to mi rumaki co się zowie!

— Dla nas przeznaczone — odparł jego przewodnik, a jeżeli jesteś panie hrabio równie dobrym kawalerzystą, jak piechurem — dodał żartobliwie — dziś jeszcze przed wieczorem wręczysz list Arturowi O'Connor. Po cóż miałbym taić się z tem! W Kildare, u lorda Edwarda Fitz-Gerald, znalazł on schronienie.

— Fitz-Gerald! — wykrzyknął Tankred, z widocznem wzruszeniem.

— Ach! — wtrącił *Wild-Irish* radością uniesiony — nie zapomniał pan tego nazwiska?

— Było by to z mojej strony niewdzięcznością nie do przebaczenia! — Tankred żywo odrzucił — jemu bowiem winien jestem życie. Wspomnienie to jeszcze z wojny amerykańskiej...

— Ośmielę się przerwać panu hrabiemu... może byś raczył skończyć opowiadanie po śniadaniu?.. Ta pieczeń zdaje się wyśmienitą a przechadzka apetyt djabelnie zaostrzyła!.. Dano do stołu!

Przemienienie zupełne nastąpiło tak w rysach jak i w całem wzięciu Wielkiego mściciela. Nazwisko Fitz-Geralda miało widocznie moc czarodziejską, spędziło bowiem troskę z jego czoła i uśmiechem wesołym niemal usta mu okrasiło, dotąd pełne goryczy i zwątpienia bolesnego.

Ów stół, do którego zapraszał uprzejmy gospodarz, był to odłam skały sterczącej nad ziemią, w kształcie grzyba. Do siedzenia służyły dwie kłody, usługiwali zaś dwaj *Yeomeri*. Jeden ściągał pieczeń z rożna improwizowanego, drugi butelkę odkorkowywał.

— Bierzmy się więc do jedzenia!—hrabia zatarł ręce, bo co prawda i jemu głód już porządnie dał się we znaki. Ale mojej historji przeto nie daruję! Otóż dnia pewnego, kapitan Tankred wpadł w ręce Anglikom z patrolem liczącym trzydziestu jeźdźców, którymi dowodził. Walka była niemożebną! Otoczyły nas dwa pułki mundurów czerwonych. Jenerał Burgoyne, którego pytano o rozkazy, co do naszych osobistości, odpowiedział tem jednem słowem:

— Powiesić!

— Djabelnie kusa sprawa! — mruknął *Wild-Irish*, kładnąc piękny zraz pieczeni przed gościem, na korze z drzewa, która chwilowo talerze zastępywała.

— Na nasze szczęście — mówił hrabia dalej — oficer, który odebrał ten rozkaz barbarzyński, nie miał serca go wykonać, a nawet nocy następnej, dopomógł nam do ucieczki. Odtąd datuje się moja wdzięczność i przyjaźń wzajemna.

— I również niełaska, w jaką popadł ten człowiek najszlachetniejszy! — potrząsł głową *Wild-Irish* z boleścią i najwyższem oburzeniem. — Prześladowano go najokropniej, zdegradowano i wreszcie z armji wykluczono, jak jakiego tchórza rekruta, który zmyka z placu boju! Biedny Edward! Błąkał się po lasach prowadząc żywot dzikich, spiąc w krzakach, pijąc wodę źródlaną i żywiąc się po największej części korzonkami i leśnemi owocami. A zewsząd czyhały na niego istoty drapieżne, chciwe krwi białego.

— Nie był sam jednak? — Tankred spytał.

— Czuwali nad nim dwaj przyjaciele — *Wild-Irish*, dumnie się wyprostował — wierny jego murzyn Tony, który go nigdy na krok nie odstępuje i jeszcze ktoś inny, ziomek, który służył jako wolontarjusz w armji dowodzonej przez La Fayette'a.

Hrabia zerwał się nagle i w czoło uderzył.

— Eureka! — wykrzyknął jak niegdyś Archimedes — Eureka! Znalazłem! przypominam sobie! poznaję pana raz przecie! Jesteś owym strzelcem nieuchwytnym, niezmordowanym, którego wiecznie na rekonesans wysyłano, a który za każdym razem przerzedzał sztab angielski. Niedarmo dzicy przezwali pana jaguarem!

— W rzeczy samej — uśmiechnął się zagadnięty — moi przyjaciele czerwonoskóry, znali mnie tylko pod tem nazwiskiem.

— A ci, którzy mają białą skórę, jeżeli łaska? Którzy nie należą ani do *White Boys*, ani do „Serc ze stali", ani do „Serc dębowych", jak ci pana nazywają? Tam do kata! chciałbym się o tem dokładnie dowiedzieć!

— Jakóbem .

— Jakóbem... a dalej co?..

— A dalej nic!... panie hrabio. W życiu nie znałem ni ojca ni matki... a właściwie matką jedyną była mi Irlandja!

— A więc Jakóbie Irlandzki — wywnioskował Tankred — czy pozwolisz na znak szczerej przyjaźni dłoń twoją uścisnąć?

Z uśmiechem wdzięczności, ale z wielką godnością, towarzysz przyjął to odznaczenie i zaszczytny dowód uznania. Jeden z Yeomen'ów, nalał wina tymczasem.

— Za zdrowie i pomyślność *Fitz Geralda*! — hrabia wzniósł toast.

— Dziękuję za niego i za siebie! — Jakób odpowiedział. — Kubki nasze wprawdzie drewniane, ale wino szlachetne, francuskie. — Kubek do dna wychyliwszy, tak mówił dalej: — Muszę ci wyznać, panie hrabio, iż dwie namiętności odmiennej natury, zajmują serce moje: nienawiść dla naszych ciemiężców i poświęcenie bez granic dla Edwarda. Matka jego, przytuliła biednego sierotę i kazała lorda nas obu kształcić prawie na równej stopie. Utrzymują nawet, iż jesteśmy do siebie podobni. W dobroci serca swego raczył mnie zawsze Edward za brata uważać Najpiękniejszą chwilą dla mnie, byłby dzień ów, w którym dane by mi było, życie poświęcić na jego usługi. Dla tego, tam w Ameryce, jak długo był w szeregach angielskich, wyczekiwałem, pomagając wtedy tylko Francuzom, jeśli byłem pewny że jego nie ma w bliskości. Niełaska, w którą popadł, i mnie ręce rozwiązała.

— Trzeba przyznać, żeś pan potrafił nagrodzić czas stracony, nieprawdaż?!

— Zapewne! — uśmiechnął się *Wild-Irish*. — Myślę iż dotąd o mnie nie zapomnieli w Saratoga, gdzie Bourgoyne broń złożył. Zostałem jeszcze czas jakiś przy Washingtonie Lord Edward zaś powrócił do Europy.

— Wiem o tem — wtrącił Tankred. — Widziałem się z nim później w Paryżu. Było to w straszliwej dla Francuzów epoce, w roku dziewięćdziesiątym drugim. I my wtedy byliśmy rozprószeni, wygnani po większej części, a na pozostałych robiono obławę, jak na dzikie zwierzęta! Mimo całego przewrotu społecznego, istniał na przedmieściu *Saint-Germain*, salonik cichy, milutki... kwiat wonny bujający nad otchłanią. Lord Edward był tam jak u siebie. Dziewczę piękne, istna czarodziejka!.. córka domniemana księcia orleańskiego i pani de Genlis, dała mu wkrótce zapomnieć o wszelkich zawodach i cierpieniach przebytych. Byłem świadkiem ich ślubu. Ah! cóż to była za rozkoszna para zakochanych, Edward i Pamela!

— Zobaczysz ją hrabio w Kildar! — rzekł Jakób, pochwałą uradowany. —Dobra, łagodna, anioł prawdziwy!.. Edward za nią szaleje!

— No! i piękna Pamela, temu lat pięć — Tankred zażartował — nie dała się wyprzedzić mężowi w miłości!

— Dziś tak samo w nim rozkochana! — zawołał Jakób z zapałem. — Któż by mógł nie kochać lorda Edwarda?!... *Dżentelmen* czystej krwi!... rozumny jak mało!... a serce najszlachetniejsze pod słońcem!... Mnie sierocie, nie ma się co dziwić... nie mam nic do stracenia... chyba jedno nędzne życie!... Ale on w tej walce, od której starają się go powstrzymać nadaremnie, wszyscy sercem i krwią najbliżsi; on niesie w ofierze nieszczęśliwym, uciśnionym, krew, majątek, wysokie stanowisko i najlżejszą chmurką niezaciemnione szczęście domowe!

— Ejże! — strzepnął Tankred palcami. — Więc i on do spisku należy? W takim razie zapisuję się i ja natychmiast między spiskujących, choćby dla tego tylko, aby mu spłacić dług wdzięczności!

Teraz Jakób uścisnął czule dłoń hrabiego:

— Kochasz go panie hrabio! a ja za to ciebie nawzajem kochać muszę! Ale dość już czasu straconego! Na koń! Wkrótce go zobaczymy!

Wskoczywszy na siodła, dwaj nowi przyjaciele puścili się galopem. Wyjechali z zarośli. Pędzili teraz z wiatrem w zawody po równej płaszczyźnie, wśród bujnych fal szmaragdowych, kąpiąc się w złotych słońca promieniach. Pogoda była prześliczna. Ziemia zdawała się oddychać rozkoszą. Na nieba lazurze, płynęły gdzie niegdzie lekkie białe chmurki, niby łabędzie, po nad wodą szybujące. Ich cień zdawał się biedz po łące obok koni. Kilka razy zmieniali wierzchowce. Konie na każdej stacji czekały osiodłane. Na końcu galopowały po elastycznym gruncie torfiastym.

— Wjeżdżamy o obręb hrabstwa Kildar — przewodnik oznajmił. — Teraz nie ma już prawie niebezpieczeństwa. W tym zakątku jeszcze spokojnie.

Spostrzegli wreszcie, przez gęste konary topól, któremi droga była z obu stron obsadzona, miasteczko Kildar, malowniczo rozłożone na pagórku, wśród klombów z drzew majestatycznych.

Jak daleko oko sięgało, roztaczała się obszerna dolina zielona, nazywająca się Curragh, która już wtedy służyła za miejsce wyścigowe „Sportsmenom“ irlandzkim. — W jednej z bud, w tym celu przy drodze z desek skleconych, czekał na nich rodzaj masztalerza, który natychmiast konie odebrał. Był to również jeden z wtajemniczonych. „Droga wolna — szepnął — *Erin hobragh*!“

Podeszli pieszo do stoku pagórka, gdzie stały resztki starych wałów ochronnych. Z najwyższą ostrożnością *Wild-Irish* wśliznął się cicho, pomiędzy gęste krzaki, a towarzysz poszedł za jego przykładem. Dostali się tym sposobem, przez nikogo nie dostrzeżeni, do otworu w bramie, niskiej i w ziemię przez pół zapaduiętej, jakby służyła za wejście do piwnicy. Był to w rzeczy samej loch podziemny, należący niegdyś do murów fortecznych, a dziś zupełnie opuszczony. Jedyna okrągła strzelnica u góry, przez pół zasłonięta bujnym chwastem, nader skąpo to przejście podziemne oświetlała. Jakób domacał się jednak drzwi, od których miał klucz przy sobie. Zaledwie otworzył takowe, buchnęło w twarz naszym podróżnym, powietrze zimne i wilgotne. Szli czas jakiś ciemnym korytarzem, wreszcie wstąpili na kilka wschodów kamiennych. *Wild-Irish*, pocisnął sprężynę nad głową, odsunęły się drzwi cichutko od jakiejś kryjówki, a skoro dostali się do niej po drabinie, drzwi natychmiast się zasunęły, drabinę zaś wciągnięto do środka. Teraz nareszcie weszli do pokoju obszernego i zobaczyli napowrót światło dzienne.

Był to gabinet i bibljoteka jednocześnie, przeznaczony widocznie do pracy. Musiał tu często przesiadywać człowiek światły, a w dodatku żołnierz i podróżnik. Na ścianach, pomiędzy obrazami bitw lądowych lub morskich, porozwieszano bronie najrozmaitsze, przypominające wszystkie epoki, jak i wszelkie narodowości, od toporu obosiecznego dawnych Franków do pistoletu; od szpady człowieka cywilizowanego, do ciężkiego tomahawk dzikich. Powyżej biurka starożytnego, widziało się w klatkach ze szkła, ptaki ze stref podzwrotnikowych, wypchane artystycznie. Na dużym stole, pomiędzy stosem dzieł naukowych, były rozrzucone nasiona i korzonki roślin egzotycznych, tudzież kwiaty najrzadsze, pięknie zasuszone. W gabinecie było tylko jedno okno, bardzo szerokie, otwarte w tej chwili, ale ze spuszczonemi żaluzjami.

Prawie bez szelestu, *Wild-Irizh* uchylił dwie deszczułki u żaluzji.

— Wszak pytałeś mnie dzisiaj rano panie hrabio — rzekł z cicha — jakie życie prowadzi lord Edward-Fitz-Gerald?.. Proszę patrzeć!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polowanie na lisy w Anglji.

W posępnych zimowych miesiącach, podczas gdy gęste mgły osłaniają Londyn, pędzą właściciele ziemscy życie nader przyjemne i towarzyskie. Podwoje zamków lordów i parów Anglji stoją otworem dla licznych gości, a gospodarze podejmują ich z niekłamaną serdecznością i gościnnością, iście angielską, słynną w całym świecie.

Z nadejściem pory zimowej, młodzi i starzy anglicy żyją, zda się, innem życiem, a nawet najobojętniejszy, najsilniej dotknięty *spleen*'em syn Albionu ożywia się w tym sezonie i daje się porwać owemu wirowi towarzyskiemu, dokoła niego panującemu.

Polowanie na lisy to najulubieńszy sport Anglików, sport, od którego robią oni zawisłym rozkład swych prac prywatnych a nawet publicznych. Parlament obraduje tylw wiosennych i letnich miesiącach, w których ze względu na zasiewy i zbiory w polu muszą lordowie zaniechać swej ulubionej myśliwskiej rozrywki.

A trzeba wiedzieć, że Anglik po nad wszystko stawia obowiązki towarzyskie. Wedle przyjętych z dawien dawna

zwyczajów, musi on cały sezon letni, a więc najskwarniejsze miesiące roku, spędzić w dusznych murach Londynu. Lecz z upływem letniego, czyli tak zwanego londyńskiego sezonu, prawdziwy bohater salonów przenosi w sierpniu, wrześniu, i październiku teren swej działalności w góry szkockie, gdzie po niedostępnych turniach i wirchach ugania ze strzelbą w ręku przez cały dzień, a wieczorem damom dotrzymuje towarzystwa w salonie. Lecz najwięcej zajęcia dostarcza prawdziwemu gentlemanowi listopad, w którym rozpoczynają się polowania *par force* na lisy.

Mówiąc o Angliku, nie myślę wyłącznie tylko o mężczyznach, lecz pod to słowo podciągam cały elegancki świat w Anglii, w którym jak wiadomo, płeć piękna odgrywa niepoślednią, a właściwie pierwszą rolę.

Podczas londyńskiego sezonu, damy wielkiego świata, dokonywują rzeczy nadludzkich, a spełniają je nie dla czczej chęci zabawy, lub dla nałożonych na nie obowiązków towarzyskich—przeciwnie, całkiem inny cel mają przed oczyma. Od udania się lub nieudania ich specialnych czynności, zależy w wysokim stopniu kwestja przyszłej egzystencji ich męża i stanowisko jego w wielkim świecie; i ten czynnik jest niezawodnie najważniejszym motorem.

W górach Szkocji działalność ich jest pod pewnym względem ograniczoną, gdyż polowanie, a właściwie strzelanie do zwierzyny, jest dotychczas wyłącznym monopolem mężczyzn, ale polowania *par force* na lisy są już także a raczej przeważnie ulubionym sportem dla pań, i dlatego też miesiące zimowe mają dla wielkoświatowych dam angielskich niemałe znaczenie.

Nie we wszystkich hrabstwach nadaje się teren do polowania par force na lisy. W wielu okręgach, pola właścicieli ogrodzone są parkanem lub płotem, gdzieniegdzie zaś grunt jest kamienisty lub zanadto bagnisty, co wszysto przeszkadza i utrudnia bieg koni.

Najlepsze obszary dla myśliwych znajdują się w hrabstwach środkowej Anglii, gdzie pola otoczone są najczęściej nizkim żywopłotem, który wcale szybkiej jeździe nie stoi na przeszkodzie. W każdem hrabstwie jest kilka mniej lub więcej dobrze zorganizowanych towarzystw myśliwskich. Na czele każdego towarzystwa stoi *the Master of the hounds* (dosłownie: »mistrz psiarni«). Godność ta uważana jest w sferach towarzyskich Anglii za wielki zaszczyt i od chwili swego wyboru, uważa się taki dygnitarz za pewnego rodzaju „publicznego urzędnika“. — „Gazeta Myśliwska“ podaje jego portret i krótką biografię, a kogo w ten sposób dzienniki opiszą, ten staje się pod wielu względami ważną personą. Do obowiązku tego urzędu należy ściągać roczne wkładki od członków towarzystwa, wypłacać pensje naganiaczom, ponosić koszta utrzymania psiarni i deficyt jakiby się w kasie towarzystwa pokazał, winien *the Master of the hounds*, jako prawdziwy gentleman, pokryć z własnej kieszeni. Ten ostatni warunek, milcząco na przełożonego towarzystwa nałożony, dozwala tylko bogatym starać się o tę godność, gdyż w sezonie myśliwskim wydaje się znaczne sumy częścią na wyżej wspomniane cele, częścią zaś na zakupno lisów, na odszkodowanie za zniszczone plony na polach fermerów i za szkody zrządzone przez lisa w kurnikach gospodyń wiejskich. Bo trzeba znowu wiedzieć, że przeciw rabusiowskim napadom lisa nie mają fermerzy angielscy żadnej innej broni, prócz swojej czujności, albowiem lisa nie wolno w Anglii schwytać żywcem, ani zastrzelić, ani zabić, chyba tylko w polowaniu *par force*. Gdyby przypadkiem wpadło któremu z wieśniaków na myśl lisa zabić albo schwytać żywcem, to taki człowiek zostanie na całe życie napiętnowany nazwą lisobójcy, *vulpecide*, imieniem tak haniebnem dla ucha angielskiego, jak dla nas jest miano mordercy lub podpalacza. *Master* wyznacza także obszary, na których w pewnych dniach odbywać się mają polowania, jakoteż czas i miejsce zebrania towarzyszów łowów.

Aby polowanie na lisy *par force* zupełnie się udało, potrzebne są następujące warunki: wilgotne powietrze, cokolwiek miękki teren i łagodny wiatr, któryby psiarnię wprowadził na prawdziwe tropy ściganej zwierzyny. Punktualnie o oznaczonej godzinie, gromadzą się na wskazanem miejscu miłośnicy polowania *par force*, dokąd przybywają także konno, w powozach lub pieszo, nieuczestnicy łowów, chcący bądź to powitać znajomych, bądź też przypatrzeć się bodaj rozpoczęciu ulubionego startu.

Panowie w swoich czerwonych frakach i białych pantalonach odbijają jaskrawo na ciemno-zielonem tle lasów i pól; panie zaś w czarnych lub ciemno-niebieskich kostjumach tworzą żywy kontrast z swymi towarzyszami. Piękne amazonki, w obcisłych, ich powabne kształty uwydatniających sukniach, czują się na siodle jakby w swoim właściwym żywiole.

Na dany znak przez przełożonego towarzystwa, wypuszczają wszyscy pędem swe konie i cały orszak pędzi jak błyskawica przez lasy i góry i ginie w kilku minutach z przed oczu widzów.

Polowanie *par force* trwa zwykle 5—6 godzin, tj. dopóty, dopóki bodaj jeden lis nie padnie ofiarą psiarni. Polowania te stały się namiętnością u anglików, a piękne damy kraju chmur i mgły, które nie mogą patrzeć nawet na śmierć muszki, z upodobaniem i satysfakcją przypatrują się, jak naganiacz zziajanemu lisowi odcina najpierw kitę, którą ofiarowuje najznakomitszej damie z towarzystwa, a potem dyszącego jeszcze lisa rzuca na łup zgłodniałej psiarni.

Zanotować jednak wypada, jak doktryna mało ma znaczenia w Anglii i jak w skutek tego nader niekonsekwentnie i nielogicznie postępują sobie w wielu wypadkach synowie Albionu Mają oni ustawę państwową, która zabrania wyraźnie i stanowczo *vivisekcyj;* i zakaz ten uważają Anglicy za ludzki i słuszny, a jednocześnie oddają się namiętnie polowaniom *par force*, które wszakże niczem innem nie są, jak dręczeniem zwierząt. Lecz anglicy rozumują słusznie, że takie polowania nietylko wzmacniają mięśnie i nerwy, lecz także wyrabiają w myśliwym nieustraszoną odwagę. A takie korzyści i zyski warte są przecież życia kilku nędznych lisów!

Zresztą polowania na lisy stały się w Anglii narodową ulubioną zabawą, w której i pan i chłop i robotnik dzienny gorący udział bierze. Gdy Anglik usłyszy *the hounds are coming* (psy nadciągają), porzuca jedzenie i picie, ba! nawet drzemkę poobiednią, byle tylko zobaczyć stado psów, by napaść swe oczy widokiem uciekającego lisa. Polowania te fraternizują nawet na pewien czas wszystkie watstwy ludności, zacierają na chwilę istniejące od wieków między niemi różnice.

Każda rozrywka połączona z niebezpieczeństwem życia, ma, jak wiadomo, dla Anglika zdwojoną siłę atrakcyjną i niejeden John Bull życiem przypłacił karkołomne zabawy i rozkosze. Polowania *par force* rzadko kiedy odbędą się bez jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, zwłaszcza, że jeździec w pogoni za lisem i psarnią pędzi na łeb na szyję, przez góry i doły i częstokroć wraz z koniem runie na ziemię, szczęśliwy, jeżeli wskutek takiego upadku odniesie tylko lekkie

kalectwo. Lecz właśnie ten urok niebezpieczeństwa zamiast odstręczać, zachęca tylko do tego niebezpiecznego a tak przez panie ulubionego sportu. Nie można przytem odmówić i innych dobrych stron i korzyści z tej myśliwskiej zabawy. Anglicy utrzymują — i to jest bardzo prawdopodobne — że ich kobiety zawdzięczają przeważnie swą piękność, świeżość i zręczność polowaniom *par force*. Ruch na świeżem powietrzu i szybka jazda wyrabiają w nich zręczność, podtrzymują zdrowie i hartują na niewygody.

Dla panien ma polowanie *par force* jeszcze inną stronę świetlną, gdyż nic łatwiejszego jak w czasie polowania zbliżyć się do swego upatrzonego, dać się poznać mu jak z najlepszych manier i zalet, a ostatecznie zakończyć polowanie *par force* małżeństwem u stopni ołtarza.

Z zapadającym zmrokiem lub po skończonych łowach, rozpraszają się na kilka godzin miłośnicy polowania, by odpocząć po znojach i trudach i zmienić tualety, a wieczorem zbierają się w gościnnych salonach gospodarza na swobodną pogawędkę o zdarzeniach i wypadkach dnia ubiegłego.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 28. Lutego 1888 r.

Z powodu zachmurzonej aury politycznej, przesilenie jest tak wielkie, że cały świat pyta ręce łamiąc: Na czem to się skończy? Alboż ja wiem. Tak samo jak wam, szanowni czytelnicy i mnie dziś ciężko, i jeżeli horyzont się nie wyjaśni, wszyscy pobankrutujemy. Przepraszam, nie wszyscy, są bowiem między nami ludzie, którzy mogą sobie zanucić:

Niech Włoch w Abisyni — co chce sobie czyni,
Niech Anglik w Afganie — nawet na łbie stanie,
Niech Moskal Koburga — skrycie łokciem szturga,
Niechaj Francuz hula — z Włochem o konsula,
My żydki, im wszystkim przyjdziemy z sukursem
I zrobimy wojnę — z naszej giełdy kursem.
Oni armatami niech śmierć sobie niosą
My im lepiej strzelim „baissą“ albo „haussą“.
Ich krwią w razie wojny, pole się zrumieni,
A nam zawsze zyski kapną do kieszeni.

Czyż nie tak? Kto straci, to niewątpliwie my, biedacy, wielcy zaś giełdziści i finansiści z pewnością miljardy zarobią. I jakże tu Boga nie prosić, by ten stan okropny jak najprędzej się skończył

Wśród stosunków do tego stopnia rozpaczliwych, nie pozostaje nic, jak tylko posypać głowę popiołem i wznieść odę do śledzia.

Witaj, o wymoknięty!
Podczas zapustnych gorączek
Twe miejsce zajmował pączek,
Pączek nadęty;
Dziś jego potęga złamana,
I na wzgardzonym grobie
Lud uznał w tobie
Pana!
Lekki, jak żokej, wysmukły, jak *dendy*,
Z lisią zwinnością przeciskasz się wszędy...
Błyszczysz na stole bogacza,
I gdzie głód przeistacza
Kartofle w ananasy.
Pełen ferworu i zamorskiej krasy
Na staromiejskim rozpierasz się rynku,
U korzennika i w szynku.
Trzeźwych jesteś przysmakiem, pijanych marzeniem...
Podniętą i pocieszeniem!
Jakżeś piękny, gdy octu krzepkiego kaskada
Kruchość ci nada,
Gdy cię uwieńczą koroną z cebuli,
Twym własnym mleczem przyozdobią dzwonka,
Wachlarz uczynią z ogonka
I zleją oliwy deszczem..
Kogóż twój widok nie rozczuli?
Kogóż nie przejmie zachwycenia dreszczem?

Przymiotów twoich potęga
I ponad umysły sięga,
Na sercu trwałe wyciskając piętno;
I gdy działalność mięsiwa
Wichrząca jest i burzliwa,
Ty czynisz duszę cichą, beznamiętną.

Ciebie asceta jadał średniowieczny,
Który na skrzydłach idealnych marzeń
Szybował do chwały wiecznej;
Tobą się karmi plemię Izraela,
Co delikatnym rozumem wystrzela
Nad poziom powszednich zdarzeń;
Tyś jest subtelną strawą
Tych, którzy gonią za sławą;
Wychudły faktor ciebie jada,
Wieszcz.. i dewotka blada..

O Don-Kichocie oceanu!
Werterze rybiej nacji!
Biedak się tobie kłania jako panu,
Boś kresem jego turbacji.
Mięso — rzecz droga,
A głód — rzecz brzydka;
Nie ginie jednak obywatel,
Którego niestać na pieroga
Ani na rozbratel —
Nie ginie — bo „holendra“ kupuje za dydka!

Zbiory po Kraszewskim, do których prócz bogatej biblioteki, należą także najrozmaitsze pamiątki po wielkim pisarzu, znajdują się w Krakowie i wkrótce będą uporządkowane. Rodzina nie mogąc ich dla siebie zatrzymać, radaby je sprzedać, lecz o ile nam wiadomo kupiec dotąd się nie znalazł. Ponieważ w razie gdyby jakie miasto okazało chęć nabycia tych rzeczy, rodzina jest gotowa sprzedać tylko bibliotekę, resztę zaś pamiątek oddać zadarmo, więc zdaje nam się, że powinna by się znaleźć gmina, nieobciążona zbytnio długami, któraby się mogła zdobyć na ten zbytek szlachetny. Pomyślcie o tem panowie burmistrze, a który z was pierwszy stanie u mety, temu kraj cały przyklaśnie.

Książka p. Szczepańskiego, o której w poprzednim numerze wspominaliśmy, przychodzi w samą porę i społeczeństwo nasze powinna do głębi poruszyć, jeżeli kiedy bowiem, to właśnie teraz, Galicja zaczyna się zastanawiać nad opłakanem swojem położeniem i myśli o środkach ratunku. Czy słyszano u nas kiedy o tylu co teraz towarzystwach oszczędnościowych? Po dobrym przykładzie lwowskich pań, zawiązuje się także męskie towarzystwo dziesięcio centowe, a prócz tego donoszą nam z prowincji, że w bardzo wielu miejscowościach noszą się z zamiarem zawiązania podobnych assocjacyj. Oby te projekty jak najprędzej zostały urzeczywistnione! Niech w każdej, choćby najbiedniejszej i najmniej ludnej mieścinie, jeden człowiek powie sobie, że towarzystwo oszczędnościowe musi zawiązać, a prędzej lub później z pewnością tego dokaże. Wszak nie święci garnki lepią. A więc energicznie bierzmy się do dzieła, bo naród na nas patrzy! Do tego ważnego przedmiotu wrócimy, przy najbliższej sposobności, aby poddać kilka myśli, mogących wyjść na pożytek kraju.

p.

PORADNIK DOMOWY.

Na marzec.

Po opróżnieniu spiżarni w czasie karnawału, trzeba pomyśleć o nowych do niej zapasach — chociaż konfitury i kompoty zimową porą można zastąpić jedynie przyrządzonemi z żurawin i pomarańcz, ale nie mając innych owoców trzeba i temi się zadowolnić Sok robiony z żurawin przemarzniętych bardzo jest smaczny, konfitura delikatna i klarowna, konfitura zaś z pomarańcz nie jest tak mdła jak ona, bo posiada w miarę kwaskowatości i goryczki, a przytem bardzo się efektownie przedstawia, pokrajana w ćwiartki w klarownym sosie.

Jedna szynka nie zamarynuje się dobrze, bo sosu z niej będzie nie wiele, a chcąc ażeby szynki przesłoniały i były soczyste, powinny w sosie leżyć. Dwie szynki dzadzą się dobrze ułożyć w małej podłużnej wanience dębowej, mocno pobitej, aby nic sosu nie przypuszczała, bo każda łyżka tego sosu jest bardzo pożądaną i dla tego, gdy sosu jest nie wiele, trzeba do szynek dołożyć kilkanaście funtów mięsa wołowego na pekel. Mięso to wydziela z siebie dużo sosu. Sos mięsny można również zastąpić sosem z piwa bawarskiego, lub porteru krajowego, przegotowawszy pół kwarty tego płynu z 2-ma łyżkami soli kuchennej, łyżka soli morskiej, łyżka cukru i trocha pieprzu i ziela.

Wszystkie szynki westfalskie marynowane w takim sosie posiadają kolor i smak doskonały. Szynki prędko słonieją, gdy są natarte prażoną solą, biorąc jej tę samą ilość co zwykle do szynki t. j $^3/_4$ funta soli i 2—3 łutów saletry na jednę dużą szynkę. Szynka, do której użyto soli palonej po 3 — 4 tygodni jest już dobra, solona zaś zwykłym sposobem, potrzebuje w sosie leżeć przez 6 tygodni

Do piwnicy należy teraz częściej samej pani zaglądać, bo gdy mrozy zelżeją, powietrze w nich się znacznie ociepli, kartofle zaczną kiełkować, przez co stają się niesmaczne i bardzo niezdrowe do użycia, trzeba je zatem teraz służącym w chwilach wolnych od zajęć, poobrywać z wszystkich kiełków i cienko rozpostrzeć po piwnicy, aby obwiędły.

Cement do klejenia potłuczonych fajansów, szkła i porcelany.

Cement, którego przepis podajemy na tem miejscu, zaleca się siłą a przedewszystkiem prostotą przyrządzenia. Może go sporządzić każdy u siebie w domu, bez żadnych wyszukanych części składowych, gdyż potrzebny doń materjał znajduje się wszędzie pod ręką. Gotuje się w wodzie kawałek białego szybowego szkła. Gdy szkło mocno się nagrzeje, przerzuca się je w zimną wodę, wskutek czego nabiera ono kruchości. Wydobyć z wody, obetrzeć i utłuc w moździerzu. Proszek przesiać jak najdrobniej, dołączając doń nieco białka. Rozetrzeć wszystko razem na marmurowej płycie i otrzymanym cementem spoić popękane części naczyń. Części zlepione w tem samem miejscu nigdy nie pękają, choćby naczynie uległo powtórnemu rozbiciu. Próba łatwa do wykonania. Szkło winno być roztarte jak najstaranniej.

Zadanie konikowe.

(Ułożył prof. Z Morawski z Tarnowa)

pój	szkiem	się	ler	tach	wi	chaj	nie	na	n
chaj	na	kie	ba	czas	przy	wi	wi	jak	nin
li	o	Nie	kar	Szu	nie	kto	ko	chaj	ździec
woj	dru	niesz	w pa	da	tra	ja	Je	co	piej
Dwo	ła	zbi	niech	Żół	tek	Ksiądz	le	gu	bi
gich	nie	rak	ga	nie	chaj	ły	lu	zdzie	naj
cach	ja	pię	nie	kra	i	chaj	tak	da	bi
tą	niech	ci	bo	ci	sta	z swych	Mnich	do	ra
Li	niech	tki	ry	dzia	ty	by	san	Bo	niech
pią	kręg	chwiasz	świę	so	Ju	da	po	choć	mach

Wiersz Kajet. Węgierskiego.

Łamigłówka.

Zo — wel — wro — ta — ter — pe — prze — sa — le — lon — a — je — kno — ab — dy — o — claw — fro — eu — le — bóg

1) Wyspa państwa Japońskiego. 2) Syn Dawida 3) Wioska koło Grzymałowa) 4) Wykrzyknik. 5) Bogini grecka. 6) Miasto nad Odrą. 7) Historyk polski. 8) Muza poezji lirycznej

Litery początkowe i końcowe od góry ku dołowi czytane dadzą znane przysłowie

Zagadka.

(Przez p. R. z Wieliczki.)

Jestem polskie słowo, z niemieckiego się składam —
Jednem się zapytuję, drugiem odpowiadam.

Szarada.

(Ułożył p. Zdzisław Jarocki z Królestwa)

Pierwszy zwrotny, to stworzenie
Co i w dźwiękach ma znaczenie;
Drugi wprost, śpiewami słynął,
Lecz w przeszłości już zaginął

Zwrotny za to pośród ludzi,
Jeśli tęgi, postrach budzi;
Cały zaś po wszystkie kraje
Wciąż zabiera i oddaje.

Logogryf.

(Ułożyła Pojata z nad Czeremosza.)

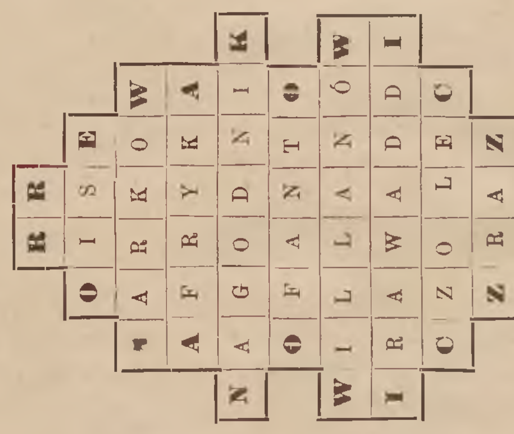
Z następujących liter ułożyć wyrazy, których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą nazwisko, a końcowe czytane z dołu do góry utworzą imię satyryka i poety polskiego.

a, a, a, a, a. a, b, c, c, d, e, e, e, e, e, e, e, i, i, i, i, k, l. l, l, l, m, m, m, n, n, n, n, o, o, o, o, o, o, o, r, r, r, s, s, s, t, t, t, u, u, u, w, w, y, y, z, z.

1) Gad 2) Krainą w starożytnej Grecji. 3) Owady. 4) Niezbędne dla koczujących. 5) Bożek. 6) Pożądana u opowiadacza. 7) Na wspak nazwisko mistrza dłuta i penzla. 8) Znajdziesz je w klasztorze. 9) Mieszkaniec Afryki.

Kto powyższe łamigłówki pierwszy rozwiąże, otrzyma powieść **M. Bałuckiego**, w 2-ch tom. **„W żydowskich rękach.**

Rozwiązanie zadania głoskowego z Nr. 6.



Romanowicz — Rewakowicz.

Rozwiązanie łamigłówki kropkowej z Nru 6.

Stara — arak — arka — kara — rak — sak — krasa — rasa — taras — kasa — taksa — as — Sara — kra — rata — tara — kat — tak — akt — krata — skra — kasta — tasak — Aar. Słowo ostatnie: *Starka*

Do wszystkich.

Zbyt częste reklamacje numerów pojedynczych, zniewalają nas upraszać szanownych czytelników, aby najpierw reklamowali na swojej poczcie, ponieważ administracja każdy numer regularnie wszystkim wysyła.

Z drukarni nar. W. Znanieckiego: Zarządca: Walenty Hodak. Wydawca: Józef Rogosz Odpowiedzialny redaktor: Teofil Szumski.